

„Gdyby nie reżim komunistyczny, pewnie w piłce osiągnąłbym więcej... Życie, jak film

Rozmowa z Janem Banasiem, legendarnym piłkarzem Górnika Zabrze

Reżyser Janusz Kidawa-Błoński zdecydował się przenieść pańskie losy, karierę na duży ekran. Zresztą nieprzypadkowo...

Moje życie rzeczywiście barwnością, nagłymi zwrotami akcji scenariusz filmowy przypomina. Dużo się w nim działo. Dostałem zaproszenie do urzędu od władz miasta, na spotkanie. Usiedliśmy, porozmawialiśmy. Zrodził się pomysł, żeby pokazać choć część historii tego dawnego Górnika, a to co mnie akurat w życiu spotkało, świetnie wkomponowuje się w całość. Janusz Kidawa-Błoński pochodzi z Chorzowa, więc nie będzie miał problemu z pokazaniem na ekranie specyfiki Śląska tamtych lat. Mnie jako, młodemu chłopakowi, mającemu przecież pochodzenie niemieckie, nie było tu łatwo. Marzyłem o zostaniu piłkarzem, ale warunków do trenowania nie miałem. Wszystkie karłusy, jak chciały grać, to jedynie im podwórka zostawały. W tym filmie, widzowie zobaczą dziesięcioletniego chłopaka, który bez względu na porę roku i pogodę, biega po boisku, wytrwale trenuje i w końcu, jako dorosły już człowiek spełnia marzenie: gra w utytułowanym klubie i reprezentacji.

Kto był wzorcem dla młodego Jana Banasia?

Najpierw Gerard Cieślak z Ruchu Chorzów. Co jak się będąc bajtlem naprosiłem, żeby ktoś mnie na mecz do Chorzowa zabra! Albo stało się pod stadionem w Chorzowie i pytało nieznanym: mogę z panem wejść? Z gwiazd zagranicznych imponował mi Garincha, przeciwko któremu już Maracanie. No i George Best z Manchesteru United. Co to był za piłkarz... Niesamowity technicznie.

I hulaka. Za kolnierza nie wylewał.

To prawda, źle skończył. Ale w tamtych czasach wielu piłkarzy na nim się wzorowało. To był przecież bardzo przystojny facet. Zawodnicy, tak jak Best, zapuszczali długie włosy, zaczęli interesować się modą, stosować do jej trendów. Nie byłem wyjątkiem. A

co do tych wątków, nazwijmy to, pozasportowych, o których pan wspominał, to do alkoholu mnie akurat nie ciągnęło. Pod tym względem to mogę powiedzieć, że piłkarzem byłem wzorowym. Lampką szampa, owszem, nie pogardziłem, ale na więcej sobie raczej nie pozwalałem. Choć tamta generacja piłkarzy, cóż... nie byli świętoszkami. To byli ostrzy zawodnicy, nie tylko na boisku. Czasem siedziałem z nimi przy stoliku, oni pili, a mną trzęsło na sam widok, bo niektórym gorzałka wchodziła prawie, jak woda. Tylko wie pan, z tą różnicą, że nie przeszkadzało im to w byciu wielkimi piłkarzami. Umieeli pić, ale i potrafili grać. Zнали umiar.

Pana do drużyny wprowadzał Ernest Pohl.

Do klubu i reprezentacji. Debiutowałem w meczu z Czechosłowacją. Ernest Pohl prócz tego, że był wielkim piłkarzem, to miał podejście do młodych zawodników, nabierałem przy nim szlifów. Wtedy nie było kaset video, ani zapisów cyfrowych. Można powiedzieć, że Pohl je zastępował, zwracał uwagę na błędy, podpowiadał różne rozwiązania.

Przeszedł Pan do historii z powodu kontuzji, tyle że politycznej. Podczas meczu pucharowego jeszcze w barwach Polonii Bytom przeciwko Norkoeping decyduje się Pan zostać za granicą. Za namową ojca trafia Pan do Niemiec.

Gdyby nie reżim komunistyczny, pewnie w piłce osiągnąłbym więcej. Za to ojciec...

Skrzywdził Pana?

Przed wszystkim matkę. A mnie? Cóż, wyjazd na igrzyska, dziś by procentował. Większą emeryturą. Pobytu w Niemczech nie mogą jednak uznać za stracony. Do dziś jestem pod wrażeniem tego ich porządku, dyscypliny. Na treningach gierki dwóch na dwóch, czterech na czterech, cały czas walka, tak, jak by na tym treningu grało się o mistrza świata. Raz na sparingu, chciałem się popisać: jak znalazłem się sam na sam bramkarzem,



Jan Banas

(ur. 1943 r. w Berlinie) do 1967 roku używał nazwiska Heinz-Dieter Banas

Z wykształcenia technik górniczy, na boisku spełniał zadania prawoskrzydłowego. Karierę piłkarską zaczynał w AKS Mikołów, następnie w Szkółce Wojewódzkiego Komitetu Wychowania Fizycznego Katowic. W 1959 przeszedł na trzy lata do Zryw Chorzów, uzyskując w tym czasie powołanie do juniorskiej reprezentacji Polski, gdzie grał razem z m.in. z Zygydem Szołtysikiem i Antonim Piechniczkiem. W 1962 roku został piłkarzem Polonii Bytom, od 1969 reprezentował barwy Górnika, z którym dwukrotnie sięgnął po tytuł mistrza i trzykrotnie po Puchar Polski.

Występował w europejskich pucharach, a w drodze do finału Pucharu Zdobywców Pucharów, strzelał gole Lewskiemu Sofia i AS Romie. Grał na pozycji prawoskrzydłowego, imponował wyszkoleniem technicznym. W Górniku rozegrał łącznie 170 oficjalnych meczów, w tym 124 w ekstraklasie i 20 w pucharach europejskich. W 1975 roku zakończył karierę ligową i wyjechał za granicę występując na boiskach USA, Meksyku i Francji.

obróciłem się, by efektywnie wbić gola piętą. Ale piłka do bramki nie wpadła. W ostatniej chwili wybił mi ją obrońca. Aż świsnęło mi uszami. Po gwizdku, trener do mnie podchodzi i obwieszcza, że płacę sto marek kary, za to moje zachowanie. I dodał: zapamiętaj to na całe życie, masz strzelać bramki. Liczy się gol, a nie styl, w jaki go strzelisz. Tak mi to w głowie później zostało. Niemcy bardzo tych statystyk pilnowali. Dlatego ciągle dzięki tej dyscyplinie wygrywają, a my stoimy w miejscu. Nie dziwię się, że Błaszczykowski, czy Lewandowski w Borussii Dortmund tak szybko piłkarsko się rozwinęli.

Wrócić pomógł Panu wojewoda Jerzy Ziętek

Powiedział mi, że jemu też się felery w życiu zdarzały. A ja mam już nie myśleć o tym, co

było, tylko skoncentrować się na strzelaniu goli. No grałem i strzelałem. Partyjni notable byli jednak wściekli, bo nikt przede mną takiego numeru nie zrobił.

Nikt prócz Górnika nie zagrał w finale europejskich pucharów. Przegraliście w Wiedniu finał z Manchesterem City, ale to nie był rywal poza waszym zasięgiem. W jednym z wywiadów powiedział Pan, że bardziej zainteresowani byliście zakupami niż meczem.

Bo tak było. Ten komunistyczny marazm, puste półki w sklepach też na nas się odbiły. Na finał jechaliśmy z listami zakupów, które, może to zabrmi

dla kogoś absurdalnie, dawały nam więcej niż wygrana w europejskim pucharze. Od 9. rano byliśmy na zakupach, a o meczu to zaczęliśmy myśleć na godzinę przed jego rozpoczęciem. Wyszło trochę, że to, co mieliśmy w siatkach miało większą wartość niż wygrana. Premie za wygrane w pucharach też były śmieszne. Anglicy dostali wtedy po 12 tysięcy funtów. My bodaj jakoś 30 dolarów. Jak im o tym mówiliśmy, to wydawało im się, że żarty sobie z nich robimy. Ten mecz przegraliśmy mentalnie.

Piłkarze Górnika zarabiali wtedy bardzo dobrze. Pan jako jeden z pierwszych na Śląsku kupił sobie czerwonego ford mustanga...

Myśli pan, że stać mnie było na niego dzięki piłce? Każdy,

kto miał smykałkę do interesów, interesy robił. Każdy wyjazd zagraniczny był ku temu okazją. Nierzadko lepiej się na tym wychodziło niż na premiach za mecze. Co do zarobków, faktycznie nie mogliśmy narzekać. Mieliliśmy etaty kopalniane, ale pensje dużo wyższe niż górniczy. Aż czasem człowiek głupio się czuł stojąc w kolejce po wypłatę, a obok byli ludzie, którym za ciężką robotę płacono dużo mniej. Dlatego na boisku dawaliśmy z siebie wszystko. Remis traktowaliśmy jak porażkę. Tyle że za te pieniądze kupić w Polsce za wiele nie można było.

Sportowo, na Górnika, jak pisano na transparentach - nie było byka. W czym tkwiła jego siła?

Klub stać było, żeby piłkarzy kupować. Ale nie ściągało się ich tabunami przed sezonem. Dochodził jeden, czasem dwóch. Szkielet drużyny się nie zmieniał. Duże znaczenie miało przywiązanie do barw klubowych. Dziś piłkarz potrafi co pół roku zmienić klub, a jak strzela bramkę, podbiega do trybun i całuje herb klubowy na koszulce. Sęk w tym, że co chwilę inny. Nie podoba mi się to. Pieniądz dziś zarabiany na boiskach jest dużo większy niż w moich czasach. Niestety, coraz bardziej działa na piłkę demoralizująco. Wtedy gra w klubie pierwszoligowym, możliwość wyjazdu za granicę, żeby zobaczyć trochę świata były najważniejsze. Pieniądze znajdowały się na drugim planie.

Czego najbardziej Pan żałuje?

Zawodowo na pewno olimpiady i mundialu, które mogłem co najwyżej w telewizji zobaczyć. Prywatnie - hm... nie ożeniłem się. Nie mogłem narzekać na brak zainteresowania ze strony pań, ale tak się złożyło, że pozostałem sam. Z jedną dziewczyną byłem siedem lat. Decyzję o ślubie odkładałem, tłumacząc, że zaczekam z tym rok, może dwa, aż skończę karierę, odpowiednio dużo zarobię, żeby starczyło na życie, dom. Jeździłem po świecie, grałem Stanach Zjednoczonych, Meksyku. Oszczędzałem. A jak już zbierałem przyszłą dewaluację. Ręce opadły.

Patrząc na obecnego Górnika - choć może zabrmi to naiwnie - widzi Pan zawodnika, który talentem przypomina ikony waszego pokolenia?

Raczej nie. Nowych Szołtysików, Lubańskich nie dostrzegam. Wie pan, temu pokoleniu brakuje tego boiskowego polotu, sprytu. Ale może jeszcze się ich doczekamy

Rozmawiał: Marcin Król